



Napisał: Ryszard Głowacki

Sala posiedzeń w naszym budynku klubowym była dziś wypełniona do ostatniego miejsca. Nigdy jeszcze doroczne, otwarte zebranie zarządu Klubu „Czarnych” nie ściągnęło tylu jego sympatyków. Zebrali się tu prawie wszyscy znaczący mieszkańcy naszego

miasteczka, bo przecież Klub obchodzić będzie w przyszłym roku swoje pięćdziesięciolecie.

Punktualnie o osiemnastej wszedł prezes, a za nim członkowie zarządu Klubu, z merem na czele. Pomiędzy nimi ujrzałem również

mojego ojca. Już piętnaście lat temu zakończył karierę sportową, a nadal jest najpopularniejszym człowiekiem w Norton. Ludzie pamiętają ten nieprzerwany, ośmioletni okres jego występów w reprezentacji i tę setkę strzelonych bramek! Ojciec chciał, abym ja poszedł w jego ślady... Z początku wszystko szło po jego myśli: kopalem piłkę całymi dniami, ale potem zajęła mnie matematyka. Pozostało jednak przywiązanie do Klubu.

Zebranie było ciekawe, mówiono głównie o jubileuszu i o tym, jakby to było pięknie, gdyby „Czarni” zdobyli mistrzostwo. Było to marzeniem wszystkich mieszkańców naszego miasteczka. A szansa była... Do końca rozgrywek pozostało jeszcze sześć spotkań, a nasza drużyna miała tylko jeden punkt straty do lidera. Gdyby wygrała wszystkie pozostałe mecze, z pewnością zdobyłaby mistrzostwo.

Po zebraniu wracaliśmy z ojcem do domu. Rozmowa dotyczyła oczywiście piłki.

– Jak oceniasz szanse „Czarnych”? – zapytałem.

– Nie mają żadnych – odparł.

– Jak to?! Przecież grają znakomicie. W tych sześciu pozostałych meczach mogą stracić najwyżej jeden albo dwa punkty na wyjazdach. Najgorszych przeciwników mają już poza sobą.

– Zapomniałeś o „Wilkach”. Ostatni mecz gramy u nich, w Catsville.

– No, to co z tego?

– A to, że od czterech lat żadna drużyna nie wywiodła od nich ani jednego punktu.

– Niemożliwe!

– Ale prawdziwe.

– Tato, chyba się mylisz. To jest niezgodne z rachunkiem prawdopodobieństwa!

– Jeśli nie wierzysz, to sprawdź sam. Bardzo, bardzo bym chciał, aby „Czarni” zdobyli mistrzostwo. Nieraz byliśmy już bardzo blisko celu, ale zawsze brakowało szczęścia. W tym roku historia też się zapewne powtórzy, niestety.

* * *

Słowa ojca nie dawały mi spokoju. Jak to możliwe, aby drużyna w ciągu czterech lat nie straciła ani jednego punktu na swoim boisku? Statystycznie powinna wygrać tylko jedną trzecią spotkań... No tak, ale wiadomo przecież, że istnieje tak zwany atut własnego boiska...

Postanowiłem zbadać tę sprawę. Materiałów nie musiałem długo szukać. Ojciec miał wszystko, co mi mogło być potrzebne: wycinki z gazet, tabele, zestawienia wyników. Po paru godzinach miałem już pierwsze obliczenia. Okazało się, że atut własnego boiska powoduje wzrost liczby spotkań, wygranych na własnych boiskach, do pięćdziesięciu, a dla drużyn najwyższej klasy – do osiemdziesięciu procent. Ponieważ „Wilki” są drużyną ze środka tabeli, a mają wskaźnik zwycięstw równy jedności, dlatego uważam, że jest to sprawa niezwykle dziwna... Większość spotkań wyjazdowych przegrywają, czasem zdarzy im się jakiś remis lub wygrana. Ale znalazłem też ciekawostkę – przed trzema laty „Wilki” przegrały u siebie mecz z ówczesnym outsiderem tabeli. Był to jednak mecz pucharowy.

Nazajutrz zawiadomiłem ojca o wynikach swoich poszukiwań. Zaśmiał się tylko i rzekł:

– Tajemnica jest prosta, oni mają wspólnie, świetnie zorganizowany doping. Pojedź tam kiedyś na mecz, posłuchaj. To obezwładnia przeciwników! „Wilki” wcale nie grają słabo na wyjazdach, a dobrze u siebie, oni grają zawsze równo. To tylko przeciwnicy grają u nich bardzo słabo. A jeśli chodzi o ten przegrany mecz pucharowy, to oni nigdy nie mieli większych sukcesów w tych rozgrywkach. Zawsze odpadali w pierwszym albo drugim spotkaniu, ale wtedy grali prawie bez publiczności, bez dopingu, bo większość ludzi była jeszcze w pracy.

– Jednak mimo wszystko mnie się to nie podoba.

– W takim razie znajdź wyjaśnienie – zaśmiał się ojciec. – Jeśli znajdziesz lekarstwo na „Wilków”, masz u mnie beczkę piwa!

W najbliższą sobotę pojechałem do Catsville na mecz. Oczywiście, znowu wygrali!

Było trzy do zera, a wszystkie bramki padły po przerwie, nie bez winy bramkarza. Doping mają jednak wspaniały, ale to jeszcze nie powód, żeby stale wygrywać. Czuję, że problem zaczyna mnie pasjonować. To były kpiny z rachunku prawdopodobieństwa, a z matematyki nie można kpić. Zawzięłem się. Wróciłem do domu i jeszcze tego samego wieczora obłożyłem się starymi gazetami. Postanowiłem przeczytać wszystkie sprawozdania z meczów „Wilków” rozegranych w Catsville w ciągu ostatnich czterech lat.

Sprawozdania były podobne do siebie jak krople wody – wygrywali przeważnie różnicą dwóch bramek, z reguły bardzo słaba była gra obrony gości, szczególnie w drugiej połowie. „Wilki” zdobywały bramki głównie z dalekich strzałów. Sprawozdawcy podkreślali znakomitą atmosferę na stadionie.

Zająłem się też trenerem – był nim Peter Dutch, postać dość znana w świecie piłkarskim.

Szczególną uwagę zwróciłem na ten przegrany mecz pucharowy; walka była bardzo zacięta, sprawozdawca podkreślał znakomitą grę gości na wszystkich liniach. Życiowy mecz rozegrał wtedy ich bramkarz. Spotkanie odbyło się przy prawie pustych trybunach, ponieważ była to środa, godzina trzy-nasta. To wszystko.

Było już dobrze po północy, gdy położyłem się spać. Głową miałem nabita wiadomościami piłkarskimi.

Rano wstałem zmęczony i niewyspany – dobrze, że była niedziela. Kupiłem gazetę – w tabeli nic się nie zmieniło. „Czarni” wygrali, lider też. Jeden punkt przewagi utrzymywał się nadal, a do końca rozgrywek pozostało jeszcze pięć spotkań.

Po obiedzie wybrałem się z ojcem na spacer.

– Jak podobał ci się wczorajszy mecz „Wilków”? – zapytał.

– Przeciętny.

– A widzisz, mówiłem ci, że na nich nie ma rady!

– Tato, oni wcale nie są tacy dobrzy!

– Pewnie, że nie są, ale mają świetną

publiczność. To jest cały sekret ich zwycięstw.

Postanowiłem odtąd towarzyszyć „Wilkom” we wszystkich ich spotkaniach. W następną sobotę oglądałem ich wyjazdowy mecz. Szczególną uwagę zwróciłem na trenera, ale nie zauważyłem nic specjalnie ciekawego – zachowywał się jak każdy trener.

W przerwie przysiadłem się bliżej grupy kibiców z Catsville i zaraz zobaczyłem Alla z naszego roku.

– Cześć, stary! – zawołał. – Co cię tu sprowadza?

– Normalnie, kibicuję, a ty?

– Ja przecież jestem z Catsville. Kiedyś grałem nawet w juniorach.

Przysiadłem się do niego, to był właśnie ktoś, kto mógł mi pomóc. Pod niebiosą wychwalałem jego drużynę, zadawałem mu mnóstwo pytań i otrzymywałem mnóstwo odpowiedzi, z których, niestety, nic nie wynikało. Jedyną interesującą rzeczą było to, że „Wilki” grają tak znakomicie od pierwszego meczu po generalnym remoncie swojego stadionu. To już był jakiś ślad. Na zakończenie poprosiłem Alla, aby dowiedział się jak najwięcej szczegółów o tym przegranym meczu pucharowym.

Po powrocie do domu zastałem ojca z bardzo smutną miną. Okazało się, że „Czarni” przegrali wyjazdowy mecz i mają już trzy punkty straty. Pozostały im dwa kolejne spotkania u siebie i dwa ostatnie na wyjeździe. Mistrzostwo oddalało się od „Czarnych” coraz bardziej.

W poniedziałek, zaraz na pierwszej przerwie między wykładami, dopadłem Alla.

– Czego się dowiedziałeś o tym przegranym meczu? – zapytałem.

– „Wilki” nigdy nie nastawiają się na puchar – odparł.

– Ale dlaczego mecz odbył się w południe, a nie jak zwykle, wieczorem?

– A, o to ci chodzi... Była jakaś awaria w elektrowni i musieli rozegrać spotkanie przy świetle dziennym. Rozumiesz, to było w grudniu.

Zrozumiałem. Zrozumiałem, że obiecana przez ojca „beczka piwa” oddala się ode

mnie z szybkością pospiesznego pociągu. Miałem dokładnie dość i „Wilków”, i piłki.

W środę po południu przyjechał do ojca jakiś facet. Przywitali się serdecznie. Po chwili ojciec wszedł do mojego pokoju i rzekł:

– Pozwól na chwilę do mnie. Przyjechał mój przyjaciel, Stan, który jest trenerem drużyny w Rock City. Chce się mnie poradzić, jaką obrać taktykę na mecz z „Wilkami” w Catsville. Jeśli przegrają, to koniec z nimi, a on straci posadę. Wiem, że to się na nic nie zda, ale ja wygadałem się, że ty też interesujesz się „Wilkami”.

Poszedłem niechętnie, bo co ja, zwykły kibic, mogę doradzić takim fachowcom. Przywitałem się z facetem i czekam.

– Jakie lekarstwo radziłbyś mi zastosować na nich? – zapytał.

– Z moich obserwacji wynika, że pierwsze trzydzieści minut przeciwnicy „Wilków” wytrzymują niezłe, często nawet prowadzą. Potem zaczynają się rozklejać formacje obronne i sypią się gole. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Moja rada jest taka – niech pan zabierze trzech bramkarzy i zmienia ich co pół godziny, dziewięciu zawodników proszę postawić w obronie, a jednego na desancie. Nic pan nie ryzykuje. Życzę powodzenia.

W tę sobotę ojciec po raz pierwszy od lat opuścił mecz „Czarnych”. Pojechaliśmy obaj do Catsville. Co tam się działo! Zaraz na początku spotkania wypad środkowego napastnika gości zakończył się zdobyciem bramki. Publiczność wcale się tym nie przejęła i spokojnie kontynuowała swój przygniatający doping. „Wilki” strzelali z trzydziestu metrów i wyrównanie wisiało na włosku. Wtedy stała się rzecz dziwna – po pół godziny takiej kanonady trener gości zmienił bramkarza wykazującego już silne oznaki zmęczenia. Wynik utrzymał się do przerwy. Po dalszych dwudziestu minutach goście znowu wymienili bramkarza, ale pod koniec spotkania ślaniał się on już na nogach ze zmęczenia i gospodarze strzelili bramkę. Końcowy gwizdek sędziego był szokiem i dla miejscowej publiczności, i dla zawodników –

po raz pierwszy od czterech lat „Wilki” straciły punkt na swoim stadionie!

Wracaliśmy do domu w wyśmienitym nastroju – nasi również wygrali, lider przegrał i znów był tylko jeden punkt do odrobienia, a do końca rozgrywek jeszcze trzy mecze.

Późnym wieczorem wpadł do nas przyjaciel ojca, Stan. O mało nie uduślił mnie z radości, a po jego wyjściu ojciec wręczył mi kopertę z czekiem opiewającym na wcale pokazną sumkę. Najbardziej jednak pod ekscytowało mnie w tym dniu coś innego – trener „Wilków” był nieobecny na meczu. All powiedział mi, że on nigdy bezpośrednio nie obserwuje meczów w Catsville. Zawsze siedzi w swoim pokoju zamknięty na cztery spusty. Mecze ogląda na monitorze.

Powoli zaczynało mi się rozjaśniać w głowie; zrozumiałem, że muszę wiedzieć wszystko o trenerze. I znów pomógł mi nieoceniony All. Okazało się, że Peter Dutch był przed kilkunastu laty znakomicie zapowiadającym się juniorem, ale poważna kontuzja położyła kres jego sportowej karierze. Rozpoczął studia na politechnice, ale ich nie skończył, przerzucił się na trenerstwo i od początku pracuje w Catsville. Jest starym kawalerem, z zamiłowania zajmuje się radioamatorstwem. Wszystko to wyciągnąłem od Alla, który bardzo się cieszył, że „Wilki” mają tak oddanego kibica w Norton.

Następna kolejka przyniosła wygraną naszych na wyjeździe i remis prowadzącej drużyny. Oba czołowe zespoły miały równą ilość punktów.

W środę pojechałem znów do Catsville. Udało mi się namówić Alla, aby poszedł ze mną obejrzeć trening „Wilków”. W pewnej chwili, pod pozorem udania się do toalety, wszedłem do pomieszczeń klubowych pod trybuną. Szybko odnalazłem pokój z wizytówką: „Peter Dutch – I trener”. Zapukałem – nikt nie odpowiedział. Nacisnąłem klamkę i drzwi otworzyły się bezszelestnie; w pokoju nie było nikogo. Całe umeblowanie ograniczało się do biurka, stolika, kilku foteli i telewizora. Po lewej stronie stała duża, żelazna szafa. Przez jedyne okno widać było odległą o kilkaset metrów halę pobliskiej kopalni.

Cicho zamknąłem drzwi i wróciłem na trybunę.

W sobotę znów znalazłem się w Catsville, ale już z wyposażeniem. Miałem staromodną, mosiężną lunetę, pożyczoną od pewnego znajomego astronoma-amatora oraz małej odbiornik tranzystorowy. Cały ten sprzęt wytaskałem na szczyt hałdy, ulokowałem się wygodnie i czekałem na rozpoczęcie meczu. Lokalna stacja radiowa transmitowała przebieg spotkania, wiedziałem więc, co się dzieje na boisku. W kilka chwil po rozpoczęciu spotkania trener wszedł do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz, uruchomił monitor i otworzył żelazną szafę. Obserwację miałem nieco utrudnioną, bo wszystko widziałem do góry nogami, ale po pewnym czasie przyzwyczaiłem się. Mecz przebiegał zgodnie ze znanym mi schematem. W specjalnie gorących momentach pod bramką gości Dutch odwracał się od monitora w stronę szafy i kręcił jakąś gałką, prawdopodobnie potencjometrem. Zresztą cała szafa pełna była rozmaitych elementów elektronicznych. Po pół godzinie obserwacji zrozumiałem, że niczego więcej się nie dowiem, włożyłem lunetę do futerału i poszedłem oglądać mecz. Zakończył się on – zgodnie z tradycją – wygraną go gospodarzy. Jeszcze raz święcił tryumf obywatelniający doping catsvillskich kibiców...

Po tej sobocie na czele tabeli nic się nie zmieniło. Obie czołowe drużyny wygrały swoje mecze. Wszystko miało zdecydować się w ostatniej kolejce.

W niedzielę powiedziałem o swoich odkryciach ojcu; był zszokowany. Zaczęliśmy się zastanawiać, w jaki sposób przeszkodzić Dutchowi w kontynuowaniu jego dzieła. Po kilku godzinach mieliśmy już w zarysach plan akcji.

Ostatni mecz – jak wiadomo – mieliśmy rozegrać w Catsville, z „Wilkami”. Nasi konkurenci grali – również na wyjeździe – z walczącą o ligową egzystencję drużyną Stana, przyjaciela mojego ojca. Aby upewnić się, że nasz plan jest dobrze przygotowany, pojechaliliśmy w czwartek do Catsville i, korzystając

z znajomości ojca, zdołaliśmy się wkręcić na chwilę rozmowy do pokoju Dutcha.

Ojciec poprosił go o zdjęcie do naszego klubowego albumu słynnych zawodników i trenerów. Fotografować miałem ja. Zestaw miałem już tak spreparowany, że po włączeniu flesza do gniazdka nastąpiło spięcie i wyskoczyły korki. Bardzo przepraszałem za gapiostwo, ale nasz gospodarz uspokoił mnie, że zaraz naprawi. Wszedł na korytarz wraz z ojcem i po chwili wrócili. Tym razem naładowałem flesz bez kłopotów, zrobiłem zdjęcie, podziękowaliśmy i wróciliśmy do domu.

W piątek zmontowaliśmy grupę, która miała brać udział w końcowej „uroczystości”. Oprócz ojca i mnie w jej skład wchodził: znajomy fotoreporter, prezes naszego klubu, adwokat i jeden z nortonówskich policjantów. Nie powiedzieliśmy im jednakże wszystkiego. Całej prawdy mieli się dowiedzieć dopiero na miejscu. Zresztą ja sam dokładnie jej nie znałem.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień – chyba połowa ludności naszego miasteczka wyjechała na mecz do Catsville. Trybuny stadionu „Wilków” zdawały się trzeszczeć od nadmiaru widzów. Nasi rozpoczęli grę z wielkim rozmachem i w piętnastej minucie strzelili pierwszą bramkę. Wtedy cała nasza szóstka udała się do pomieszczeń klubowych pod trybuną. Było tam zupełnie pusto, normalna rzecz w czasie meczu. Schowaliśmy się w toalecie, a ja wykręciłem szybko korki zabezpieczające pokój trenera. Po chwili zazgrzytał klucz w zamku i Peter Dutch popędził do skrzynki z bezpiecznikami. Światło lampy błyskowej naszego fotoreportera sparaliżowało go na moment.

– Co to za wygłupy? Kto wam pozwolił tu się kręcić!? – krzyknął.

– Spokojnie, Peter – rzekł ojciec – lepiej poproś nas do siebie.

– Nie mam teraz czasu. Przyjdźcie po meczu.

– Nie, Dutch, my chcemy teraz.

W tym momencie Dutch zauważył, że flesz błyska w jego pokoju i rzucił się w tamtą stronę, a my za nim. W ten sposób wszyscy

znaleźliśmy się u niego. Zamknąłem drzwi na klucz.

– Co to, napad? – wybełkotał – ja... ja zawałam policję!

– Nie trzeba, chłopcze, my tu już przyprawiliśmy policjanta. Mike, pokaż mu swoją legitymację służbową – rzekł ojciec.

– Czego chcecie? – zapytał ochryplym głosem.

– Powiedz mu – zwrócił się do mnie ojciec.

– Panie Dutch, panowie! – rozpocząłem według najlepszych wzorów. – Przed kilku laty zaczął pan pracować jako trener „Wilków”. Mniej więcej od tego czasu drużyna wasza nie przegrała u siebie ani jednego meczu, jeśli nie liczyć tego pucharowego. Wielki to zaszczyt dla trenera, prawda? Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie ta szafa. Ja wiem, że elektronika to pańskie hobby, pan nawet kiedyś studiował...

W tym miejscu mój wywód przerwany został potężnym: „Jeeest”. Któraś drużyna strzeliła bramkę, nie wiedzieliśmy jednak która, bo z powodu braku prądu monitor był wyłączony.

– Krótko mówiąc, wpadł pan na pomysł „pomagania” swojej drużynie w zwycięstwach, montując instalację do „rozmiękczenia” defensywy przeciwników, a zwłaszcza bramkarza. Przez cztery lata udawało się panu, zyskał pan opinię znakomitego trenera. Tylko raz wasi przegrali, ale to nie była pańska wina, tylko elektrowni.

– Peter, to nie było fair – rzekł prezes. – Wydaje mi się, że powinniśmy oddać tę sprawę do sądu.

– Nie róbcie tego, błagam was! Ja... ja wam wszystko wyjaśnię! To jest mój własny wynalazek. On może mieć duże zastosowanie w psychiatrii...

– No, więc mów, tylko bez zbędnych dodatków. Potem zastanowimy się, co z tobą zrobię.

Trener „Wilków” wyglądał fatalnie, był błądy, ręce mu drżały. Zaczął opowiadać bezbarwnym, łamiącym się głosem:

– Interesuję się elektroniką, dużo eksperymentuję. Kiedyś zbudowałem układ,

w którego polu działania zacząłem zachowywać się dziwnie – byłem niezwykle z siebie zadowolony, a przy tym miałem opóźniony refleks. A w ogóle czułem się trochę jak po narkotyku. Wtedy pomyślałem, że gdyby tak poddać wpływowi tego pola bramkarza, to po kilkunastu minutach każdy silniejszy strzał na bramkę byłby prawie pewnym golem. No, a resztę już znacie...

– Gdzie są wmontowane generatory? – zapytał Mike.

– W słupkach bramkowych.

– Jaką drogą dostarczana jest do nich energia?

– Wykorzystałem istniejącą instalację zbudowaną dla potrzeb zawodów lekkoatletycznych, nieczynną w czasie meczów piłkarskich.

Cisza zapanowała w pomieszczeniu. Dutch siedział ze spuszczoną głową. Pierwszy odezwał się mój ojciec.

– Panowie, proponuję takie rozwiązanie: nie będziemy robić z tego użytku pod warunkiem, że Dutch zobowiąże się na piśmie do zdemontowania całego kramu w ciągu tygodnia, nie odnowi kontraktu z „Wilkami” oraz wycofa się ze sportu. Zgoda?

– Zgoda – potwierdzili wszyscy.

– Pisz, Dutch – rozkazał ojciec.

Po napisaniu oświadczenia, zabraliśmy ze sobą roztrzęsionego trenera na trybunę. Przerwa dobiegała końca. Było dwa do zera dla „Czarnych” i tak też zakończył się cały mecz. Gdy spiker ogłosił, że nasi konkurenci zremisowali, szal radości ogarnął naszych kibiców. Byliśmy mistrzami!

Kiedy stadion opustoszał, zgnębiony Dutch zapytał:

– Panowie, powiedzcie mi, kto i w jaki sposób wpadł na to?

– To on – wskazał na mnie ojciec. – Gdy mu powiedziałem o waszym szczęśliwym stadionie, stwierdził, że jest to niezgodne z jakimś tam rachunkiem, i zaczął szukać przyczyny. Obiecałem mu, jeśli ją znajdzie – beczkę piwa...

– Tato – przerwałem mu – tak prawdę mówiąc, to ja strasznie nie lubię piwa! A tego tutaj to przecież nie ja nawarzyłem!